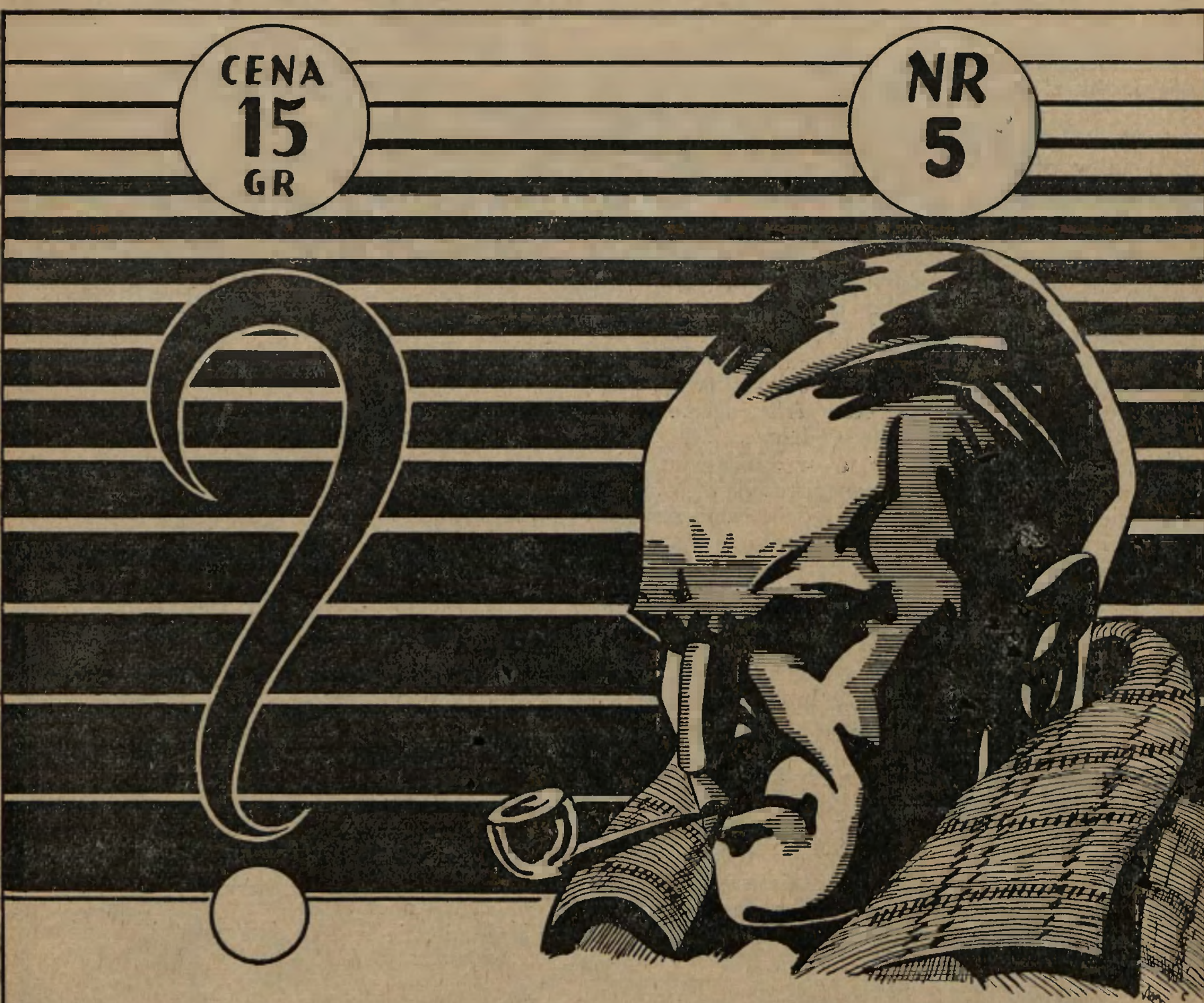
Każdy zeszyt stanowi dla siebie oddzielną całość!



Sherlock Holmes

NAJSŁYNNIEJSZY AJENT ŚLEDCZY ŚWIATA

RUDA HRABIANKA



TYGODNIK DETEKTYWICZNY

RUDA HRABIANKA

ROZDZIAŁ I.

TAJEMNICZY PAN KAŃSKI

O panu Edwardzie Kańskim, a raczej o jego przeszłości ludzie mało wiedzieli. Zresztą tacy, którzy chcieliby zagłębiać się w jego aktach dni wczorajszych, to już po pierwszej próbie, otrzymali od pana Edwarda Kańskiego maleńki liścik, który odstraszał ich od tego rodzaju eksperymentów raz na zawsze.

List zaś ten nie zawierał wcale żadnej groźby, jedynie pan Kański przypominał w nim takiej osobie o pewnym fakcie niezbyt kolidującym z ustawą, w której dany ciekawski brał czynny udział. Kański wychodził bowiem ze słusznego założenia, że człowiek grający w życiu w otwarte karty nie lubi podglądać przeciwnikowi w jego atuty.

Czyni zaś to ten, kto sam nie chodzi prostymi drogami.

Kański zresztą był człowiekiem otwartym, szczerym i chętnie służył pomocą potrzebującym tego naprawdę. Nie zapierał się, że przebywał długi czas zagranicą, gdzie udało mu się uciułać dość pokaźny majątek, który powinien pozwolić mu na spokojne spędzenie reszty życia. Ale niestety los chciał inaczej.

Oto zachciało się panu Kańskiemu zainteresować się wypadkiem zbrodni w Warszawie, przy ulicy Karowej, gdzie zamordowano pewną starszą już i bardzo zamożną wdowę — i co gorsze wykryć mordercę w rekordowym czasie i przez to dał się poznać szerszemu ogółowi, jako zdolny detektyw.

Początkowo policja patrzyła niechętnym okiem na niepowołanego intruza, ale w końcu przekonawszy się, iż ów intruz nie stara się wcale o rozgłos mimo szalonej zdolności, pozostawiła go w spokoju.

Nie dalej, jak przed kilku minutami Kański otrzymał list od komisarza Lewandowskiego, z którym nawet żył już na dość poufałej stopie, chociażby z tego względu, że dopomógł mu już niejednokrotnie swemi rzeczowymi uwagami do wykrycia przestępcy.

I właśnie czytał ów list już po raz drugi. Zastanawiała go treść, która w streszczeniu brzmiała następująco:

Kochany Panie Edwardzie!

Mam do czynienia z pewną rzeczą na pozór błahą, a jednak dającą mi dużo do myślenia. Nie jest to ani morderstwo, ani kradzież, coś co mnie spotyka po raz pierwszy w mojej praktyce. Jeżeli Kochany Pan zechciałby i raczył zainteresować się tą sprawą, to oczekuję Pana w moim prywatnym mieszkaniu między godziną 11-tą a 12-tą.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i t. d.

Kański spojrzał na duży zegar stojący w rogu gabinetu. Właśnie wydzwonił jedynastą. I aczkolwiek pan Kański nie miał chęci odwiedzić swego nowego przyjaciela komisarza, to przecież jakaś siła wewnętrzna kazała mu się ubrać i wyjść z domu.

To też pan Kański punktualnie w oznaczonym czasie znalazł się w domu w którym mieszkał komisarz, gdzie po zadzwonieniu otworzył mu sam gospodarz mieszkania, witając go z radością.

Nie mógł pan naprawdę przyjść w lepszą porę przemówił serdecznie — komisarz Lewandowski. — Wiedziałem, że pan przyjdzie!

A kiedy pan Edward zauważywszy w pokoju jakiegoś obcego mężczyznę, chciał się cofnąć, to komisarz przytrzymał go za ręce i rzucił mu szeptem.

— To właśnie ten!

— Sądziłem, że pan jest bardzo zajęty — odezwał się teraz Kański — obserwując dyskretnie owego nieznanego mężczyznę, i widzę że się nie pomyliłem.

— Właśnie że nie, a nawet przeciwnie, ponieważ oczekiwaliśmy pana z panem Żabą — tu komisarz przedstawił przybyłego nieznanemu mężczyźnie.

I dopiero teraz Kański mógł się mu lepiej przyglądnąć.

Nazwany przez komisarza Żabą był rosłym mężczyzną. Twarz miał nalaną tłuszczem, z której tylko błyszczały oczka świdrujące podejrzliwie Kańskiego. Pozatym nazwany Żabą był płomiennie rudym. W pewnej chwili wy-

dało się panu Edwardowi, że owemu Żabie ktoś zapalił wieczny stos na głowie i stos ten płonął z równą siłą.

Poprostu rudość Żaby była jakaś dziwna, nie można jej było zarzucić kompletnie najmniejszej skazy.

Proszę niech pan spocznie panie Edwardzie. —

Komisarz przerwał Kańskiemu zadumę — pan pozwoli, że przystąpię odrazu do rzeczy. Spodziewam się, że kochany pan zauważył już, iż nauczyłem się podzielać jego upodobania do wszystkiego co jest jakieś dziwne, chociaż wydaje się jakieś drobne nic nieznaczące.

Pańskie sprawy interesują mnie zazwyczaj, — przerwał mu grzecznie Pan Edward.

Pamiętam doskonale kochany mistrzu, pańskie słowa podczas rozwiązywania zagadki afery Kończyckiej z Zalesia. Pan mi wówczas mówiłeś, że dziwne efekty i nadzwyczajne kombinacje musimy czerpać z samego życia co zawsze jest o wiele trudniejszem zadaniem, niż wszelkie wysilanie wyobraźni i że nieraz na pozór nic nie znacząca rzecz jest głównym ogniwem tajemniczej i senzacyjnej zbrodni.

ROZDZIAŁ II.

RUDY KLIENT KOMISARZA

— Pan myślisz o kolorze włosów tego pana — wtrącił pan Edward.

— Istotnie, nie mnie walczyć z intuicją kochanego mistrza — rzekł skromnie urzędnik policyjny i dlatego. —

— I dlatego pozwolił pan sobie — przerwał mu Kański z uśmiechem — zwrócić się do mnie z ta dziwną sprawą, która ci się wydaje niezrozumiałą...

— Oczywiście przypomniałem sobie w porę uwagi kochanego mistrza, który twierdzi, że najdziwaczniejsze i najosobliwsze szczegóły, towarzyszą bardzo często nie znacznym, ale drobniejszym zbrodniom, czasami to nawet musi się wątpić czy wogóle jaka zbrodnia została dokonaną.

Ale nie uprzedzajmy faktów. Panie Żaba — komisarz zwrócił się do milczącego dotychczas czerwonowłosego jegomościa, który ze zdziwieniem przysłuchiwał się szermierce słów przyjaciół, może pan będzie łaskaw zacząć od początku swoje opowiadanie.

Proszę pana o to nie tylko z tego względu, że obecny tu pan Kański niezna jego początku, ale osobliwy charakter tej historii wymaga, abyśmy usłyszeli z ust pana wszelkie szczegóły.

— Masz pan rację panie komisarzu, lepiej jest otrzymać relację od zainteresowanej osoby, aniżeli wysnuwać wnioski z usłyszanego szkicu sprawy z ust obcych — powiedział spokojnie Kański dodając, że wobec tego i on przyłącza się do prośby komisarza.

Okazały klient napuszył się, przybrał nieco dumny wyraz twarzy i wyciągnął brudną i pomiętą gazetę z zewnętrznej kieszeni swego surduta.

Chwilę zapanowało milczenie.

Komisarz obserwował klienta i próbował na sposób swego zdolnego przyjaciela — detektywa, czy nie uda mu się wywnioskować czego z jego ubrania lub postaci.

Jednak niewiele zyskał, ponieważ gość miał wszelkie cechy przeciętnego pospolitego kupca w większym stylu. Był otyły, pyszny i flegmatyk, ubrany był w szare wełniane spodnie, niezbyt czysty czarny surdut, kamizelkę popielatą z ciężkim mosiężnym łańcuszkiem, od którego zwieszała blaszka metalowa z wywierconą dziurką jako dewizka. Znoszony kapelusz filcowy nieokreślonego koloru i spłowiały ciemny paltot z wyszarpanym kołnierzem barankowym, leżały obok niego na krześle.

Ogółem mimo usilnej obserwacji komisarz nie zauważył niczego nadzwyczajnego w tym człowieku, oprócz płonącej rudej głowy, najgorszego humoru i niezadowolenia odbijających się wyraźnie na jego twarzy.

Bystry Kański podchwycił jednak zainteresowanie komiszarza i uśmiechając się tak zaczął dalej snuć wątek jego myśli.

— Oprócz tego widocznego faktu, że kiedyś był rękodzielnikiem, że zażywa tabakę, jest masonem, był w Chinach i że ostatniemi czasami dużo się napisał nie mogę nic więcej wywnioskować.

Pan Żaba aż podskoczył na krześle ze zdumienia, a potem wskazując palcem na gazetę zwrócił się do Kańskiego.

— Żebym tak szczęście miał jak pan wie to wszystko panie... Skąd pan wie, że ja byłem rękodzielnikiem, a to jest prawda jak w ewangelii, bo z początku pracowałem jako cieśla na „szifach"!

— Z rąk łaskawy panie — odpowiedział Kański. Prawa ręka pańska jest większa od lewej, pracował pan nią, a więc muskuły rozwinęły się silniej.

— Dobrze, a zażywanie tabaki i wolnomularstwo? — oczy pana Żaby zdradzały niekłamany podziw.

— Niechciałbym szanownego pana obrazić opowiadaniem o swem odkryciu zwłaszcza, że właśnie wbrew ścisłym przepisom pańskiej sekty nosi pan łuk koła i cyrkiel jako szpilkę do krawatu.

A możesz mi pan wierzyć, że się nie mylę, ponieważ spotkałem się z wolnomularstwem podczas moich wędrówek po szerokim świecie.

Prawda zapomniałem o tem!

— Zresztą ja już nie jestem członkiem loży. Powróciłem do prawdziwej wiary moich ojców — odparł uroczyście pan Żaba.

— To też ja nie twierdzę, że pan jest członkiem, ale że pan był — uśmiechnął się Kański, a potem zwrócił się powoli do komisarza, właśnie w tej chwili uderzyła mi jakaś myśl do glowy, którą chciał wyjaśnić przed przyjacielem i rzekł dobrotliwie.

— Nie kochany przyjacielu z czymkolwiek ta sprawa ma coś wspólnego, to nie z masońśtwem. Zresztą ci ludzie nie mszczą się na nie wtajemniczonych, a obecny tu pański klient nie był jednym z braci ze stopniami, ale zwykłym adeptem.

Pan Żaba otworzył aż usta ze zdumienia.

— Przecież to jasne jak słońce — odparł Kański — gdyby pan był zbiegłym bratem masońskim, to starałby się pan wyrzucić od siebie wszystko co cię łączyło z tamtymi ludźmi od których groziła zemsta.

— To już chyba nie będę pytał pana, skąd pan poznał, że ostatniemi czasami dużo pisywałem? — wybąkał pan Żaba.

— A cóż innego może oznaczać ten prawy mankiet błyszczący tak na dwa centymetry i wytarta łatka na łokciu od opierania ręki na biurku — uśmiechnął się gość komisarza.

— Dobrze — a Chiny?

— Ryba, którą Pan ma wytatuowaną nad przegubem prawej ręki mogła być wykłuta tylko w Chinach. Zajmowałem się swego czasu znakami tatuowanemi i nawet pomnożyłem literaturę o tej sztuce. Rysowanie łusek rybackich w ten sposób przez delikatne uklucie jest specjalnością Chin. A kiedy dodamy monetę chińską ową dewizkę to i sprawa masońśtwa spotkanego w Polsce staje się jasną!

Pan Żaba, który tymczasem zdążył już ochłonąć ze zdumienia, wybuchnął hałaśliwym śmiechem uderzając się po kolanach:

— A niech cię! — powiedział. Myślałem spoczątku, żeś Pan zrobił coś mądrego, ale teraz widzę, że nie ma w tem wszystkiem nic szczególnego.

— Zaczynam myśleć panie komisarzu, ze zrobiłem błąd objaśniając to wszystko dla dobra sprawy, a moja biedna reputacja jaka tam ona jest, narażona będzie na szwank, jeżeli będę tak dalej otwarty.

Czy nie może pan znaleść tego ogłoszenia panie Żejba?

Nazywam się Żaba, proszę pana, a co do tego ogłoszenia oto mam je — i czerwony gruby palec rudego klienta posunął się wzdłuż pomiętej gazety.

ROZDZIAŁ III.

ZAKON CZERWONOWŁOSYCH

Kański wziął gazetę do rąk i czytał co następuje:

W sprawie Zakonu Czerwonowłosych

Stosownie do testamentu Joachima Hoptschika z Chicago U. S. A. jest wolne miejsce, które upoważnia członka Zakonu do pensji 20 dolarów na tydzień, za czysto nominalną pracę. Wszyscy rudowłosi zdrowi na ciele i umyśle i liczący ponad 21 lat mogą o stanowisko to się ubiegać. Zgłoszenia osobiste przyjmuje w poniedziałek od godz. 10—13-tej.

Władysław Kletsch—Krawicki
Chmielna 116.

Cóż to wszystko właściwie znaczy, kochany mistrzu? — przerwał komisarz. — Cóż to za głupi żart?

Kański zachichotał i pokręcił się na krześle jak to zwykle robił, gdy się do czego zapalił.

To trochę oryginalny żart — powiedział. A teraz panie Żaba, bierz się pan do rzeczy i powiedz nam wszystko o sobie o swem gospodarstwie i w jakim stopniu to ogłoszenie wpłynęło na pańskie losy. Przede wszystkiem

opowiadaj pan tak, jakbyś wcale nikomu jeszcze o tem nie mówił.

A więc to „Głos Warszawy“ z dnia 18-go kwietnia, właśnie z przed dwóch miesięcy, zapamiętaj pan sobie datę panie komisarzu. Pan zaś panie Żaba, zaczynaj swoje ciekawe opowiadanie.

Ja? Proszę bardzo — tu pan Żaba wydobył tabakierę skąd zażył potężny niuch i zaczął w ten sposób.

ROZDZIAŁ IV.

OPOWIADANIE PANA ŻABY

— Otóż miała się ta rzecz tak, jak właśnie opowiadałem panu komisarzowi, mam mały zakład zastawniczy na Chłodnej koło hal targowych. Nie jest to bardzo wielki interes, a w ostatnich latach nie przynosił mi więcej ponad to ile do życia potrzeba. Zwykle jednak mogłem trzymać dwóch pomocników, ale teraz mam tylko jednego i to trudnoby mi było płacić mu całej pensji, gdyby nie zgodził się na połowę tylko dlatego, aby się czegoś nauczyć.

Jakże się nazywa ten uczynny młodzieniaszek? — zapytał Kański. — Wie pan to naprawdę unikat w dzisiejszych czasach. —

— Nazywa się Wincenty Słowik i nie jest wcale taki młody.

Trudno oznaczyć jego wiek, zreszta nie życzyłbym sobie sprytniejszego pomocnika i wiem bardzo dobrze, że on może pójść wyżej i zarobić dwa razy tyle ile ja mu jestem w stanie zapłacić. Ale wziawszy wszystko pod uwagę, to jeżeli jest zadowolony pocóż mam mu zawracać głowę jakiemiś mrzonkami.

— Całkiem słusznie! Pocóż ma pan zawracać głowę takiemu robotnikowi, któremu płacisz poniżej ceny targowej. Niepospolite to doświadczenie u pracodawców w tym wieku również godne podkreślenia. Niewiem czy pański pomocnik nie jest równie godnym uwagi, jak ta pańska czerwonowłosa historia.

— O, on ma także swoie wady; zauważył pan Żaba. — Nigdy nie spotkałem człowieka, któryby miał taką pasię do fotografowania jak on.

Chwyta za aparat, kiedy powinienby raczej pilnować swego zajęcia i fotografuje co mu pod aparat podpadnie. To jakieś zgrabne nóżki dziewczynek, to znowu anielskie twarzyczki, albo gołębie na chodniku — słowem wszystko. A potem daje nura do piwnicy, jak królik do nory, aby utrwalać te nikomu niepotrzebne zdjęcia.

To jest główna jego wada, ale w gruncie rzeczy jest to dobry chłopak — niema na nim żadnej plamy.

— Mam wrażenie, że ów pomocnik jest jeszcze u pana?

— Tak proszę pana. On i dziewczyna 14-letnia, która zajmuje się naszą skromną kuchnią i dba o porządek w domu. To wszystko co posiadam, ponieważ jestem wdowcem i nigdy nie miałem żadnej rodziny. Żyjemy bardzo spokojnie, troje nas. Mamy dach nad głową i pożyczamy ludziom na fanty, ale nie spotkaliśmy sie jeszcze nigdy z jakiemiś skargami ze strony klientów.

— Żona pańska? przerwał Kański pytaniem opowiadanie Żaby. Ten zaś, przez chwilę zastanawiał się nad pytaniem, ale wnet odparł szybko, że żona jego była Francuską i sierota bez rodziny jak on sam i że już dawno umarła.

Pierwsza rzecz, jaka wyprowadziła nas z równowagi — ciągnał dalej, to to przeklęte ogłoszenie. Pamiętam doskonale jak tego dnia Słowik przyszedł do interesu i powiada odrazu z miejsca, że chciałby być rudym.

— Dlaczego to? zapytałem go.

— Jakto, — odparł wskazując na gazetę, którą trzymał w ręce.

— Oto jest jedno wolne miejsce w Zakonie Czerwonowłosych. A to prawdziwe szczęście w tych ciężkich czasach dla człowieka, który je pozyska, chociaż myśle, że za dużo będzie chętnych na to miejsce kandydatów, ale gdybym tak zrudział to kto wie czy nie połknałbym tego kąska.

— Co ty pleciesz Słowik? przerwałem mu — Jakie miejsce? Jacy czerwonowłosi — Co sie stało? Zrozumiecie panowie moje zdziwienie kiedy wam powiem, że siedzę w domu chociażby dlatego, że interesa same do mnie przychodzą, a więc też przez całe tygodnie nie ruszam się krokiem za próg.

Pomimo tego, że jestem zawsze chciwy na wiadomości co się dzieje na świecie, to

wówczas wiadomość ta była dla mnie nowością, a na dobitek mój pomocnik zapytał mnie dalej z iskrzącymi oczami.

— Czy pan nigdy nie słyszał o Zakonie Czerwonowłosych?

— Nigdy — odpowiedziałem.

— To źle, ponieważ pan mogłeś się już dawno ubiegać o wolne miejsce w tymże zakonie.

— No dobrze, a cóż ja tam mogę zarobić? — zapytałem.

— No zawsze parę setek na miesiąc i to, że powierzona robota jest lekka i nie przeszkadza zbytnio innym zajęciom.

Wtedy zrozumiecie panowie — opowiadał dalej Żaba, że mnie ta wiadomość naprawdę zaintrygowała. Interes mój szedł od kilku lat pod psem, a tu mogą mi wpaść ładne pieniążki na miesiąc bez kłopotu.

Któż by się na to nie złakomił? Opowiedz mi to kochany Słowiku — rzekłem, ale tak dokumentnie.

A on pokazuje mi właśnie tą gazetę i tłumaczy, że w jakiejś tam organizacji czerwonowłosych jest wolne miejsce, a oto adres gdzie powinienem się dowiedzieć o wszystkich dalszych szczegółach.

O ile sobie przypominam, to Słowik mi opowiadał, że ten zakon założył amerykański milioner, który był oryginałem, a że miał taki same rude włosy jak ja, to i rzecz zrozumiała, pałał wielką miłością do ludzi rudych. I tak po jego śmierci dowiedziano się, że zostawił olbrzymi majątek w rękach kuratorów z instrukcją, ażeby przeznaczyć go na zabezpieczenie losu ludzi, którzy posiadają włosy tego koloru co i on. Z tego co mi Słowik opowiadał miała to być wspaniała praca, ponieważ mało było w niej roboty. A dziś o takie warunki naprawdę trudno.

Kiedy zaś odezwałem się, że przecież miliony ludzi czerwonowłosych zgłosiłoby się na tę posadę, to Słowik uspokoił mnie twierdząc że znowu nie tak wiele miało by szanse ponieważ testament mówi tylko o czerwonowłosych zamieszkałych w Warszawie. Podobno ten bogaty amerykanin sam był z Warszawy i chciał się tak odwdzięczyć rodzinnemu miastu.

I widzi pan, panie pryncypale opowiadał dalej Słowik, mają to być ludzie prawdziwie czerwonowłosi, a jeżeli chodzi o zgłoszenie to powinien się tam pan udać bez pytania odrazu jutro, chyba, że nie opłaci się panu zaniedbywać interesu dla marnych kilkuset dolarów.

I tak postanowiłem spróbować szczęścia. Przecież miałem i mam włosy rude, jak sam ogień to i szanse powinienem mieć nie byle jakie.

Wobec tego kiedy nadszedł ten poniedziałek zamknęliśmy sklep i udaliśmy się na miejsce wyznaczone w ogłoszeniu.

Nigdy już nie spodziewałem się oglądać takiego widowiska jak to. — Z północy, południa i zachodu ciągnął na Chmielną każdy mężczyzna, który miał chociażby cień rudych włosów na głowie. Cała Chmielna była formalnie zapchana rudowłosymi, a nawet między nimi trafiały się i kobiety.

Nie przypuszczałem, że w Warszawie może być aż tylu rudych. Pawiadam panom, że były tam wszystkie kolory, słomiany, cytrynowy, pomarańczowy, ceglany, kasztanowaty, wątrobiany, gliniany, ale jak Słowik przypuszczał nie było wielu takich, którzyby mieli prawdziwą żywą ognistą barwę owłosienia.

Kiedy zobaczyłem ilu ich czekało, już miałem ochotę wycofać się z tej całej hecy, ale Słowik niechciał o tem słyszeć. Jak on to wykombinował nie mogę sobie do tej chwili uprzytomnić. Dość na tym, że popychał mnie, ciągnął, szturkał, aż przeprowadził mnie przez tą ciżbę czerwonowłosych na schody, które wiodły prosto do biura. Po tych schodach zaś fala ludzi toczyła się tam i napowrót. Jedni szli na górę pełni nadziei, inni wracali zawiedzeni ale my brnęliśmy ile nam siły starczyło, aż wreszcie znaleźliśmy się w biurze.

Hm! — chrząknął Kański i rzekł korzystając z tego, że klient przystanął i odświeżał pamięć szczyptą tabaki — pański wypadek jest nadzwyczaj zabawny. Ciągnij — że pan dalej ten zajmujący film.

ROZDZIAŁ V.

CIEKAWA POSADA P. ŻABY

Żaba zażył potężny niuch tabaki i tak mówił:

Nic tam w biurze nie było, tylko kilka drewnianych krzeseł i sosnowy stół za którym siedział jakiś mały mężczyzna z głową jeszcze bardziej rudą niż moja. Mówił on kilka słów do każdego kandydata, który przyszedł i w każdym z nich znajdował jakieś wady pozbawiające go kwalifikacji na członka zakonu.

Wskutek tego pozyskanie miejsca nie wydawało mi się łatwe. Ale wreszcie kiedy przyszła kolej na nas, to rudy człowiek nagle się odmienił, stając się dla mnie łaskawy i zaraz wyprosił wszystkich innych z pokoju pozosta-

wiając tylko nas dwóch, to znaczy mnie i Słowika.

To jest pan Żaba — rzekł wtedy mój pomocnik, który chciałby zająć wolne miejsce w zakonie rudych.

Ale nagle zamilkł i zaczął mi się bacznie przyglądać, wreszcie oświadczył, że przybysz posiada wszelkie kwalifikacje wymagane przez statut, a dowodem tego, że on sam nie może sobie przypomnieć czy spotkał kogoś więcej odpowiedniego.

— Przyjacielu — odparł surowo ten co mnie miał przyjąć — nazwa rudy wcale nie zasługuje na pogardliwe traktowanie. A w pańskim powiedzeniu dało się wyczuć coś fałszywego. Zapamiętaj sobie przyjacielu, że wielcy ludzie bywali przeważnie czerwonowłosi. Ale to nie oznacza ażeby pański sąsiad nie nadawał się na opróżnione miejsce w zakonie. Owszem pysznie się nadaje — potem postąpił krok naprzód, pochylił głowę na bok i wpatrywał się w moje włosy. Raptem uścisnął mi rękę i serdecznie pogratulował mi powodzenia.

Byłoby niesprawiedliwością wahać się — powiedział — ale wybaczy pan, że przeprowadzę niezawodne środki ostrożności — w tej chwili niespodzianie złapał mnie za kudły i potargał, aż zawyłem z bólu. Wtedy puścił mnie śmiejąc się, a mnie w oczach stanęły łzy.

Potem tłumaczył mi, że to wszystko dla ostrożności, bo już ich dwa razy oszukali, raz przez perukę, a drugi raz za pomocą farby. Potem dodał jeszcze, że mógłby mi opowiedzieć nie jedną historię na ten temat, bo ludzie są strasznie nieuczciwi, ale podszedł do okna i podniesionym głosem krzyknął, że wolne miejsce w tej chwili zostało zajęte.

Ludzie z ulicy poszemrali przez chwilę, a potem powoli rozeszli się.

Nazywam się Władysław Kletsch—Krawicki, zwrócił się do mnie mój przyszły zwierzchnik i sam jestem jednym z pensjonariuszy funduszu pozostawionego przez naszego zacnego dobroczyńcę.

Czy pan jest żonaty, panie Żaba? Ma pan rodzinę?

Odpowiedziałem przecząco.

Wtedy on nagle spoważniał i zaczął mówić surowo, że to jest bardzo ważna rzecz i że jest mu bardzo przykro, iż słyszy ją odemnie, bo przecież fundacja zaleca wyraźnie rozmnażanie się rudych ludzi.

Wówczas zrzedła mi mina, bo myślałem, że już nie otrzymam tego miejsca, a tymczasem mi mój przyszły szef oświadczył, że wszystko będzie dobrze.

W każdym innym wypadku — mówił — mogłoby to panu przeszkodzić, ale musimy być względni dla człowieka, który ma takie rude włosy jak pan.

Stawiamy panu jeden warunek, że musi się pan ożenić z młodą rudowłosą dziewczyną — a widząc moje strapienie dodał na pociechę, — Niech się pan nie martwi. Zakon panu wynajdzie śliczną panienkę, bo my nie chcemy mieć brzydkich ludzi w zakonie no i zaopatrzy w odpowiednio suty posag pieniężny.

— I oczywiście pan się zdecydował — uśmiechnął się Kański — a specjalnie na to ostatnie.

— A ktoby się nie zdecydował — odparł filozoficznie Żaba i jął opowiadać dalej:

Potem zapytał mi się w jakim terminie będę mógł zacząć pracę, a kiedy zacząłem się trochę krzywić, że przecież już mam zajęcie to wtrącił się Słowik uspakajając mnie żebym się nie troszczył o to, bo on może mnie śmiało i dobrze zastąpić.

Wtedy zapytałem się o godziny urzędowania?

Od dziesiątej do drugiej — oznajmił mi szef.

Dobrze odpowiedziałem, ale u mnie jest największy ruch wieczorem — zacząłem tłumaczyć — zwłaszcza w czwartek i piątek właśnie przed dniem wypłaty — wówczas pomyślałem sobie zaraz, że pomocnik jest dobry człowiek i że dogladnie wszystkiego odpowiednio.

Wobec tego spytałem o rodzaj pracy, jaką mam uskuteczniać, bo o pensji już wiedziałem, ponieważ szef mi odpowiedział, że czysto nominalna, zresztą pamiętam jego słowa.

Ma pan być w biurze mówił — albo ostatecznie w tym budynku przez cały ten czas. Jeżeli pan go opuści to postrada pan to stanowisko na zawsze. Testament — tego żąda. E, to tylko cztery godziny — odpowiedziałem — ani mi przez głowę nie przejdzie myśl o opuszczaniu takiego dobrego miejsca.

Potem on mnie jeszcze nastraszył, że żadna wymówka na nic się nie przyda, ani choroba, ani interes, ani nic innego. Muszę tam siedzieć, albo stracę posadę.

A praca?

— Polega na przepisywaniu Encyklopedii Polskiej od tyłu.

Ostatni tom znajduje się w szafie. Musi pan się postarać o własny atrament pióro i bibułę, a my dodajemy panu stół i krzesło.

Będzie pan gotów na jutro?

Naturalnie — odrzekłem uradowany.

— Więc dowidzenia panu, panie Żaba

i pozwól pan sobie jeszcze raz pogratulować z okazji tego ważnego stanowiska, oraz szczęścia jakie cię niespodziewanie spotkało — i pożegnał mnie ukłonem, a ja po wyjściu stamtąd poszedłem z moim pomocnikiem do domu.

Przemyśliwałem nad tą sprawą i znowu to wszyskto zaczęło mi się podobać. Bo jakże to, kombinowałem sobie, w jakim celu mieliby oni płacić mi takie grube pieniądze za zwykłe przepisywanie ręczne jakiejś Encyklopedii i to od tyłu. I wydało mi się, że to wszystko nic innego, tylko jakiś głupi psikus, którego chce mi ktoś wypłatać.

Biedny Słowik robił co mógł, żeby mi dodać odwagi, doszło nawet do tego, że idąc spać rozmyśliłem się zupełnie i postanowiłem nie ruszać sie nigdzie z domu. Pomimo to rano kupiłem flaszkę atramentu, kilka piór i 7 arkuszy papieru i poszedłem na ulicę Chmielną.

Tam zaś ku mojej niespodziance i radości wszystko było jak najlepiej. Stół przygotowano, a pan Kletsch—Krawicki czekał już na mnie, aby być świadkiem mojej pracy. Wskazał mi literę Z, a potem wyszedł, ale od czasu do czasu wpadał zobaczyć czy wszystko jest w porządku.

O drugiej godzinie pożegnał mnie, pochwalił za to co przepisałem i zamknął zamną drzwi od biura.

Tak było dzień w dzień panie komisarzu — a w sobotę przyszedł szef i położył 20 dolarów za moją całotygodniową pracę.

Tak samo następnego tygodnia i za dwa tygodnie.

Codziennie przybywałem do biura o 10-tej i wychodziłem o drugiej popołudniu, tylko raz wyszedłem wcześniej, a było to wtedy, kiedy przyszła ona.

— Jaka ona? — zapytał komisarz — nic pan mi o niej nie wspominał.

— Nie wspominałem, bo mnie serce bolało — odparł przesłuchiwany z komiczną rozpaczą — ale skoro ten drugi pan mówi, że każdy szczególik nawet najmniejszy może być ważny, to ja opowiem i o tym.

Oto raz, a było to w 15 dniu mojej pracy przyszedł do biura mój szef w towarzystwie jakiejś okręconej silnie szalem kobiety.

Kobieta ta milcząco stanęła przedemną i zaczęła mnie obserwować. Było mi to trochę nieprzyjemnie, ale niedługo, bo nieznajoma odsunęła szal, a z pod niego wyjrzała twarz piękna, — panowie, nawet anieli nie są tak piękni, a włosy jej to nie były rude, ale złotym ogniem niebieskim.

Nagle ta pani pierwsza odezwała się do mnie.

— Czy podobam się panu? — uśmiechnęła się kusząco.

A ja cymbał milczałem jak głupi. Wtedy ona jeszcze raz zaśmiała się srebrzyście mówiąc, że w takim razie podług praw zakonu zostanie moją żoną o drugiej pełni miesiąca.

I podała mi rączkę — panowie co to była za rączka, a co miała za nóżki — całowałbym je do nieprzytomności. Ale ona nie pozwoliła i powiedziała mi, że muszę czekać cierpliwie i pracować pilnie, bo każdy dzień zbliża nas do siebie.

Pozwoliła jednak odprowadzić się do stacji głównej, skąd miała wyjechać do Berlina do tamtejszego zakonu czerwonowłosych.

Później jednak pan Kletsch—Krawicki odwiedzał mnie z rana coraz rzadziej, a po pewnym czasie wcale już nie przychodził.

Mimo to nie odważyłem się opuścić pokoju ani na chwilę, bo nie byłem pewny, czy w tej chwili nie wpadnie szef na kontrolę.

Zresztą stanowisko moje było tak dobre i tak mi odpowiadało, że nie chciałem się narazić na utratę takiej posady.

Pozatym myślałem stale o nieznajomej piękności.

W ten sposób minęło dziewięć tygodni i przepisałem już całą literę Z... Inna rzecz, że kosztowało mnie trochę papieru i dobrze już napełniłem półki mojemi pismami, aż tu raptem skończył się ten cały interes.

Skończył? — Kański wyglądał jakby się obudził z długiego snu. Jednak dymiąca krótka angielska fajeczka dowodziła, że słucha uważnie. —

— Tak proszę pana to właśnie dziś rano. Przyszedłem do pracy jak zwykle o dziesiątej godzinie, a drzwi biura zastaje zamknięte na klucz i na drzwiach wisi przybita mała karteczka, — jak panowie chcecie mogę ją panom pokazać — i wręczył Kańskiemu nieszczęsną kartkę na której ten wyczytał następujące słowa.

Zakon Czerwonowłosych uległ likwidacji!

Kański i komisarz spoglądali to na owe krótkie doniesienie, to na żałosną twarz Żaby, aż komiczna strona sprawy tak wzięła górę nad innymi względami, że obydwaj parsknęli głośnym śmiechem. —

Nie widzę w tym nic tak bardzo śmiesznego — odezwał się pan Żaba, płonąc nie gorzej od swej głowy. — No, no — uspokoił go Kański — proszę się nie gniewać, ale sprawa była tak humorystyczna, że nie mogliśmy się wstrzymać od śmiechu. Nie oznacza to jednak, żeby rzecz sama nazywała się błahą. —

Proszę, niech nam pan powie jakie przedsięwziąłeś kroki, kiedy znalazłeś tę kartkę na drzwiach? —

— Zachwiałem się panie! O tak! — Tu pan Żaba pokazał tak komicznie to zachwianie się, że obaj przyjaciele z trudnością zdołali opanować dalszy wybuch śmiechu.

Nie wiedziałem co robić. Potem dowiadywałem się po biurach sąsiednich, ale żadne z nich nic nie wiedziało. Udałem się więc do gospodarza, który ma hotel na pierwszym piętrze i zapytałem go, czyby mi niemógł powiedzieć co się stało z Zakonem Czerwonowłosych, a ten nigdy nie słyszał o takim zakonie. — Wtedy pytam go, kto jest ten pan Władysław Kletsch—Krawicki, odpowiedział mi, że nazwisko to jest dla niego obce w tym domu chociaż mówiono mu, czy obiło mu się gdzieś o uszy, że tak nazywał się jeden wielki oszust, który ustatkował się później żeniąc się z bogata ulicznica — ale tego z całą pewnością nie wiedział.

To ten pan z czwartego numeru — tłumaczę mu z rozpaczą, bo niechcę wierzyć w to co on mówi.

— Co ten rudy?

— Tak!

Wtedy gospodarz zdziwił się i wyjaśnił mi, że ten pan nazywał się Emil Grzywaczko i tylko chwilowo używał tego pokoju, aż jego nowe pomieszkanie będzie gotowe i że wyprowadził się wczoraj.

A gdzie mógłbym go znaleść? — zapytałem.

— W nowym mieszkaniu. Oto jego adres ul. Nowy Świat 123.

Puściłem się więc zaraz w drogę, ale kiedy doszedłem do kamienicy pod tym numerem okazało się, że tam jest fabryka żarówek i w niej nikt nigdy nie słyszał ani o Krawickim ani o Grzywaczku.

A co pan potem zrobił? — zapytał Kański.

Potem pan Żaba zaczepił mnie na ulicy — wtrącił się komisarz Lewandowski.

Tak jest, w istocie zaczepiłem pana komisarza, bo nie chciałem tak łatwo stracić dobrej posady.

ROZDZIAŁ VI.

PRZESŁUCHANIE ŻABY PRZEZ KAŃSKIEGO

Dobrze uczyniłeś i roztropnie panie Żaba — rzekł Kański.

Sprawa pańska nie jest tak wesoła, jednak z drugiej strony niezwykła i przyjemnie mi będzie się nią zająć.

Z tego co słyszałem od pana, zdaje mi się, że z tego wynikają poważniejsze konkluzje, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka.

Dosyć poważne panie ispektorze — przerwał Żaba — przecież straciłem 100 dolarów miesięcznie.

O ile się to pana tyczy osobiście — zaznaczył Kański — nie widzę, żeby pan doznał jakiejś krzywdy od tego niezwykłego zakonu.

Przeciwnie o ile zrozumiałem zbogaciłeś się pan o jakieś 200 dolarów, nie licząc drobiazgowych wiadomości jakie pozyskałeś o każdym przedmiocie znajdującym się pod literą „Z".

Ogółem nic pan nie straciłeś.

— Nie proszę pana, ale chciałbym wynaleźć i dowiedzieć się kim oni są, i dlaczego wypłatali mi takiego figla.

Jeżeli to był wogóle figiel — zauważył Kański.

— A co w takim razie panie inspektorze?

— Będziemy się starali wyświetlić te szczegóły dla pana — odpowiedział Kański.

— Przede wszystkiem jeszcze zadam panu kilka pytań panie Żaba, a mianowicie:

— Odkąd ten pomocnik pracuje u pana?

— Będzie już trzeci miesiąc.

— W jaki sposób przyszedł do pana?

— Na ogłoszenie.

— Czy był tylko jedynym kandydatem?

— Nie, było ich czternastu.

— A dlaczego pan go wybrał?

— Bo był tani i nadawał się do interesu.

— Naprawdę, przyjął pół pensji?

— Tak!

— A jak on wygląda, ten — Słowik?

— Mały, silnie zbudowany, bardzo zręczny, bez żadnego zarostu na twarzy, choć wygląda już na trzydzieści lat.

— Aha! Ma jeszcze białą plamę na czole.

Kański słuchał w milczeniu — ale nagle zerwał się i zapytał:

— Czy pan kiedy zauważył, że ten człowiek ma uszy przekłute i że nie mówi poprawnie po polsku?

— Tak panie! Ale on mi powiedział, że był długi czas w obozie cygańskim jako porwane dziecko.

Hm — mruknął Kański — zapadając w zadumę, która przerywał jedynie jakimś mruczeniem dat, które wymawiał po angielsku.

Nagle zapytał:

— Czy ten człowiek jest jeszcze u pana?

— Przepraszam pana czy pan go zna? — zainteresował się Żaba.

— Możliwe, że znam — odpowiedział Kański.

— Jest! Przecież zostawiłem go w interesie jak zwykle.

— A czy dobrze pilnował interesu, przez czas nieobecności pana.

— Nie mogę się skarżyć, zresztą z rana niema nigdy nic do roboty.

— To wystarcza panie Żaba. Miło mi będzie wyjawić panu moje zdanie o tej sprawie za dzień lub dwa. Dziś jest sobota więc spodziewam się, że w poniedziałek dojdziemy do ostatecznych wyników.

No — a ci co wystawili mnie na dutka? — zapytał boleśnie pan Żaba!

— Bądź pan szczęśliwy, że jeszcze żyjesz, bo ci panowie zawsze krwawo kończą swoje żarty. Ale narazie proszę to wszystko zachować w głębokiej tajemnicy. Nie było pana u nas — rozumie pan! Proszę to powtórzyć.

Nie było mnie u panów — oświadczył przestraszony Żaba — nikt się o tem nie dowie.

W zamian za to przyrzekam panu, że usłyszy pan w krótce dużo ciekawych rzeczy — pożegnał Kański rudowłosego gościa.

ROZDZIAŁ VII.

ZADUMA KAŃSKIEGO

— Cóż kochany komisarzu — zaczął Kański, kiedy gość opuścił pokój — co pan z tego rozumiesz?

— Nic z tego nie wiem. To jest bardzo tajemnicza sprawa — odparł zapytany.

— Z reguły — podjął Kański — im bardziej sprawa jest zawikłaną, tem mniej okazuje się tajemniczą.

— Cóż zamierza pan zrobić, kochany mistrzu?

— Palić! — odparł Kański. — To jest kwestia tylko trzech fajek. Proszę więc o spokój przez 35 minut.

— Kański obrócił się na swym fotelu, podparł głowę i tak siedział z oczyma zamkniętymi trzymając czarną glinianą fajkę w zębach, wyglądającą na dziub jakiegoś egzotycznego ptaka.

Komisarzowi Lewandowskiemu wydawało się, że już gdzieś widział tą postać i zaczął szukać w myślach, ale w tej chwili Kański zerwał się z fotelu i zawołał — wie pan co kochany przyjacielu: chciałem panu powiedzieć, że człowiek ma swoje fatum w życiu, które za nim chodzi i nie sposób się przed nim uchronić.

— Ale mniejsza z tem — podjął dalej — dzisiaj w Alhambrze występuje Rolest ze swoim koncertem. Czy pan ma czas przez kilka godzin?

— Mam zawsze czas i zawsze jestem zajęty — odparł komisarz.

— Więc ubierz się pan i chodź. Pójdziemy najsamprzód przez Nowy Świat możemy więc zjeść obiad po drodze. Spostrzegam w programie dużo muzyki niemieckiej, która więcej przypada mi do gustu aniżeli włoska i francuska. Jest ona logiczną a ja muszę być logiczny. —

— A więc komu w drogę......

ROZDZIAŁ VIII.

NA TROPIE

Przeszli przez Nowy Świat aż do Krakowskiego Przedmieścia, a potem dojechali tramwajem do ulicy Chłodnej, na której mieszkał Żaba.

Stara odrapana kamienica, trzy pozłacane kule i ciemna deska z białym napisem Szymon

Żaba wskazywały miejsce gdzie prowadził swój interes ich czerwonowłosy klient.

Kański zatrzymał się przed szyldem, pochylił głowę na bok i oglądał go przymrużywszy oczy. Potem przeszedł się powoli w górę ulicy tam i na powrót, ciągle jednak bacznie obserwując kamienicę. Wreszcie wrócił pod zakład zastawniczy i stuknąwszy kilka razy głośno w bruk, podszedł ku drzwiom i zapukał.

Po krótkim czasie otworzył je jasnooki gładko ogolony mężczyzna i poprosił ich do środka.

Dziękuję odparł Kański — chciałem się tylko zapytać, jak powinienem iść stąd na ulicę Wronią?

— Niewiem nic jestem „titejszy" — rzekł krótko zamykając szybko drzwi.

— To gracki chłopiec — zauważył potem Kański. — Według mojego mniemania jest to czwarty z rzędu najsprytniejszy człowiek w Europie w dobie obecnej i nie jestem daleki do twierdzenia, że mógłby kandydować na trzeciego. Jedno mię tylko dziwi skąd on się wziął w tym miejscu — widząc zaś zdumienie komisarza dodał. — Znam tego pana doskonale.

— Widocznie mistrz już słyszał o tej sprawie.

— Nic podobnego!

— Cóż więc?

— Zauważyłem tylko jego spodnie na kolanach — odparł spokojnie Kański.

— I coś pan spostrzegł mistrzu?

— To czego spodziewałem się.

— Poco stukałeś o bruk?

— Mój przyjacielu nie czas na rozmowę, ale na badanie. Zabawimy się w szpiegów w kraju nieprzyjaciela.

Wiem już coś o okolicy ulicy Chłodnej. Zbadamy teraz tę część, która znajduje się trochę dalej, lubię wiedzieć z czem mam do czynienia.

— Pozwól mi niech się rozglądnę — rzekł Kański, stając na rogu ulicy, patrząc na szereg, zwyczajnych wielkomiejskich kamienic.

— Chciałbym właśnie zapamiętać sobie porządek domów. Jest to moja pasja notować w pamięci kolejność domów ulicy Chłodnej — jak zresztą każdej innej, z którą się spotykam. Tam jest bar „pod Złotą Rączka", Zuryska filia banku zarobkowego, dalej „Rombar-bar" i skład węgla Mojżesza Kożucha — ciekawe nazwisko co?. Stąd możemy przejść prosto na drugą stronę. A teraz panie komisarzu nareszcie skończyliśmy naszą pracę. Wartoby coś pomyśleć o obiedzie i o tej niemieckiej muzyce w takim lokalu gdzie niema czerwonowłosych klientów, którzyby pana trapili swemi błazeństwami.

Kański entuzjazmował się muzyką. Zresztą sam był nietylko bardzo zdolnym skrzypkiem, ale i kompozytorem niezwykłej miary. W domu przez całe dnie siedział na fotelu pogrążony w rozkosznej zadumie poruszając palcami w takt w myślach słyszanej melodii. Wtedy ta jego uśmiechnięta marzycielsko twarz i przymglone rozmarzone oczy nie zdradzały zdolnego mistrza detektywa i groźnego tropiciela zbrodniarzy.

Ale te chwile muzyczne, jak je sam nazywał były reakcją jego myśli i po nich budziła się w nim energia.

Gdyby ktoś znający go obserwował w tej chwili Kańskiego mógłby być pewny, że czarna godzina nadejdzie w krótce na tych, za którymi zaczął węszyć.

— Chcesz już wracać do domu — rzekł do przyjaciela gdy w stawali ze swoich miejsc w Alhambrze.

— Tak dobrze by to było — odparł trochę już podchmielony komisarz.

— A ja mam pewne drobne sprawy do załatwienia, które zajma mi kilka godzin czasu. Inna rzecz, że byłoby dobrze żeby kochany komisarz przygotował sobie na dzisiejszy wieczór kilku policjantów, ponieważ ta sprawa z ulicy Chłodnej jest bardzo poważna.

— Dlaczego poważna?

— Tam planuje się straszną zbrodnie i to w stylu wielkoświatowym ale miejmy nadzieię, że jej przeszkodzimy w porę. Jednakże dzisiaj jest sobota i to utrudnia całe przedsiewzięcie, dlatego prosiłem pana komisarza o pomoc policyjną.

— W jakiej porze?

— Jeżeli przyjdziesz o godzinie 22-giej do mojego mieszkania to będzie w sam czas. Co zaś do policjantów, to pan jesteś fachowcem w tych sprawach.

— A teraz pozwól kochany mistrzu, że i ja zwrócę panu jedną uwagę. Oto u nas w Warszawie nie bardzo bezpiecznie udawać się na wyprawy bez czegoś wymownego w kieszeni. Bądź łaskaw wziąść jakiś dobry rewolwer do kieszeni a nie zapomnij go załadować.

W Warszawie rewolwer w nocy to najwymowniejszy argument.

Ale Kański uśmiechnął się tylko i zniknął komisarzowi z oczu mieszając się z gęsto spacerującym tłumem.

Komisarz chwilę stał na chodniku i za-

czął jeszcze raz zastanawiać nad tym, gdzie spotkał się z tym człowiekiem, bo strasznie wydawał mu się bliskim.

Jakby skądś znał tą twarz o ostrych rysach, twarz prawdziwego detektywa, jakby żywcem wyciętą z romansów kryminalnych. A przecież w tym wypadku nie rozchodziło się o żaden romans. Człowiek ten żył i działał i myślał dziwnie logicznie, aczkolwiek wydawało się później, że te wszystkie jego rozwiązania były zaledwie dziecinnymi rebusikami.

Komisarz jednak wiedział o tym doskonale, że właśnie rozwiązanie tych na pozór dziecinnych rebusików to ów »geniusz detektywiczny.

Wracając więc do domu usiłował w myślach odtworzyć sobie w pamięci dokładny obraz całego wydarzenia.

I jakoś dziwnie szło mu to odpornie, a fakta plątały się jedne z drugimi w dziwną gmatwaninę.

Postanowił więc odłożyć całą sprawę do wieczora, która miała przynieść rozwiązanie. Po drodze wstąpił do komendy i załatwił sprawę policjantów, wybierając kilku silnych i zaprawionych już w owych często odbywających się na terenie stolicy obławach za szumowinami i mętami.

ROZDZIAŁ IX.

KAŃSKI PRZY PRACY

Było już kwadrans na dziesiątą, kiedy komisarz Lewandowski uporał się z rozmieszczeniem policjantów a sam udał się do apartamentów Kańskiego, który mieszkał przy ul. Srebrzystej L. 113, gdzie odnajmował całe drugie piętro.

Przed kamienicą Kańskiego stały dwie dorożki, a kiedy komisarz wszedł na schody to z drugiego zwykle cichego piętra, dobiegły go odgłosy ożywionej rozmowy, prowadzonej przez trójkę mężczyzn.

Komisarz pospieszył kroku i wszedł do mieszkania Kańskiego zastając tam dwóch gości.

W jednym z nich rozpoznał inspektora Burdę z IX. wydziału śledczego, znanego asa tropicieli przestępców bankowych. Drugim był wysoki chudy mężczyzna o poważnej twarzy. Mężczyzna ten nie podobał się komisarzowi już od pierwszego wejrzenia. Jakieś podświadome przeczucie mówiło mu, że człowiek ten aczkolwiek elegancko ubrany gentleman w każdym calu, któremu nie można było nic zarzucić zwiąże się przecież z losami całej tej zagadkowej sprawy.

W jaki sposób i w jakiej porze tego komisarz nie wiedział, ale był pewny, że jegomość ten jest nadzwyczaj blisko związany z mającym obecnie nastąpić epilogiem.

— Ha! Partia nasza jest w komplecie — przystąpił z miejsca do rzeczy Kański zapinając jasną zarzutkę i zdejmując ze ściany ciężki bykowiec.

— Mam wrażenie kochany komisarzu, że znasz tu obecnego pana inspektora Burdę. Pozwól pan zatem, że przedstawię cię panu dyrektorowi Wisłockiemu, który będzie tak łaskaw towarzyszyć naszej dzisiejszej eskapadzie.

— Panu dyrektorowi Wisłockiemu?! — komisarz naprawdę teraz nic już nie rozumiał, ale zdziwienie jego nie trwało długo, bo oto przystąpił do niego inspektor Burda i zaczął z uśmiechem.

— Widzi pan komisarzu — polujemy znowu razem. Nasz przyjaciel jest człowiekiem godnym podziwu w tropieniu zwierzyny, czego mu potrzeba, to starego psa, ażeby mu pomagał w upolowaniu jej. I oto ja tu jestem!

— Spodziewam się, że zdobycza naszego polowania nie będzie tylko dzika gęś — zauważył ponuro pan Wisłocki.

— Kto wie — rzucił Kański z uśmiechem.

— Może pan zupełnie zaufać panu Kańskiemu — rzekł inspektor Burda dumnie — Ten ma swoje specjalne metody, które, żeby się nie obrazić, gdy się wyrażę, są trochę za teoretyczne i zbyt fantastyczne, ale jest on urodzonym detektywem. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że n. p. w sprawie morderstwa przy ul. Koszykowej przewyższył policję. Intuicja jego jest nadzwyczajna.

— O jeżeli pan tak mówisz to wszystko w porządku. W każdym razie będzie to pierwsza noc od pięciu lat...

— Podczas której nie będziesz pan myślał o swojej — podjął Kański.

— Na Boga! kto pan jesteś, że potrafiłeś ukraść moją tajemnicę — wybuchnął zdumiony Wisłocki. — Moja córka nie żyje! Rozumiesz pan, nie żyje!

Wysoki i chudy pan zczerwieniał cały ze zdenerwowania, ale wnet się opanował i rzekł Przepraszam pana uniosłem się.

— Nie szkodzi — uśmiechnął się łagodnie Kański — pan mnie zrozumie, gdy mu powiem, że nie lubię mieć z nieznanymi ludźmi do czynienia. W każdym razie dzisiejsza noc będzie dla pana wielce interesującą stawką bo

aż o 30-ci milionów franków w srebrze, które pan posiada w skarbcu banku.

A pan panie inspektorze rozwiążesz może tajemnicę tej groźnej szajki grasującej we wszystkich większych miastach Europy, której specjalnością są podkopy do wszystkich bogatych bankowych skarbców.

Wódz tej szajki zwany krótko „Hrabianka" jest nadzwyczaj zdolnym jegomościem a jak ostatnio, kiedy mi zniknął z oczu udało mi się ustalić, to pochodzi z poważnej rodziny i bardzo zamożnej, ale to mu nie przeszkadza uprawiać zawodu herszta bandy. Wierzcie mi, że byłem na jego tropach kilkanaście razy, a nigdy nie mogłem go schwycić, ale dzisiejszej nocy mam nadzieję, że przedstawię go panom.

A teraz w drogę, jeżeli panowie weźmiecie jedną dorożkę, to ja z komisarzem Lewandowskim pojadę drugą.

Kański podczas jazdy nie był wcale rozmowny, nucił tylko pod nosem melodie słyszane popołudniu w Alhambrze.

Jechali w stronę ulicy Chłodnej. Minęli sklep Żaby, w którym panowały ciemności, a potem skręcili na lewo i stanęli. Wówczas wszyscy na znak Kańskiego wysiedli z dorożek i weszli do jakiejś obskurnej kamienicy, gdzie już na nich czekał stróż przy otwartej bramie.

Następnie pod przewodnictwem dyrektora Wisłockiego dotarli do podwórza, a potem przez boczną bramę, którą znowu otwarto dla nich specjalnie. Weszli w jakiś mały kurytarzyk, kończący się, potężną żelazną bramą. Od niej prowadziły na dół kręcone schody kamienne zakończone silnymi drzwiami. Wisłocki zatrzymał się, aby zapalić latarnię, a potem powiódł ich ciemnym wilgotnym kurytarzem i odemknąwszy trzecie drzwi wprowadził ich do wilgotnego jakiegoś lochu czy piwnicy zastawionej koszami i potężnymi skrzyniami.

— Nie można się tutaj dostać z góry — zauważył Kański, gdy podniósł do góry latarkę i rozglądnął się dookoła.

— Ani zdołu — rzekł Wisłocki uderzając laską o tafle, które tworzyły podłogę.

— Muszę pana naprawdę prosić, aby pan był spokojniejszym — odezwał się Kański surowo. — Jużeś Pan naraził na szwank całą naszą wyprawę właśnie przez to uderzenie — czy mogę Pana prosić, aby był tak dobry i usiadł na jednej ze skrzyń i nie przeszkadzał nam w pracy.

Acha jeszcze jedno. Cokolwiekby zaszło, proszę niech pan nie robi użytku z broni, ponieważ zapamiętaj pan sobie, że strzał nieuznaje komendy wróć.

— Tylko poproś pan Pana Boga, żeby czasem nie poniósł w nieodpowiedni cel. — odparł Kański i mruknął:

„Człowiek strzela. Pan Bóg kule nosi".

Poważny pan Wisłocki usadowił się na koszu z obrażoną miną. Kański ukląkł na podłodze, aby przy pomocy latarki elektrycznej i powiększającego szkła badać szpary pomiędzy kamieniami. Potem podniósł się na nogi i oświadczył, że mają jeszcze godzinę czasu, a to dlatego, że oni mogą dopiero wtedy zacząć kroki agresywne, gdy poczciwy pan Żaba ułoży się dokładnie do snu. Ale zato wówczas nie będą tracili ani minuty, bo im szybciej dokonają swego dzieła tem więcej czasu zyskają do ucieczki. A teraz pan Wisłocki objaśni panów dlaczego ci panowie zainteresowali się tą piwnicą w której właśnie przebywamy.

O to krótka historia — odparł Wisłocki — otrzymaliśmy właśnie jak zresztą panu wiadomo 30 milionów franków w srebrze i nie mieliśmy czasu ich rozpakować. Kosz na którym siedzę zawiera n. p. 500.000 franków, opakowanych warstwami cynolitu. Jednym słowem mamy obecnie większy zapas bilonu niż zwykle i stale obawialiśmy się, że może nastąpić włamanie i dlatego...

— Obawa panów była słuszna — przerwał Kański — ale teraz czas abyśmy ułożyli plan, a tymczasem proszę zgasić lampki i przedewszystkim obrać sobie miejsca, ja będę stał za tym koszem, a panowie ukryjecie się za tamtym. Potem kiedy puszczę na nich światło to musicie ich szybko ubezwładnić. Jeżeli jednak oni dadzą pierwsi ognia, to trudno palcie i wy do nich — ale wolałbym aby się bez tego obeszło. Po tych słowach w piwnicy zapanowała cisza.

Czas im się dłużył niemożliwie, tak że zdawało się, że już musi być rano, tylko od czasu do czasu ciszę przerywało tłumione ciężkie westchnienie Wisłockiego. Nagle Kański się poruszył w tej chwili i Lewandowski usłyszał jakiś szmer nad nimi, potem do piwnicy padł, cienki płomień światła zgóry, który rozszerzał się następnie w jasną smugę. — Po kilku sekundach pojawiła się rysa a w niej biała prawie kobieca ręka, badając grunt, dookoła tego małego światełka. Potem ręka cofnęła się szybko i w tej samej chwili z chrzęstem i skrzypieniem obróciła się jedna z białych tafli kamiennych na bok i przez utworzony w ten sposób otwór wdarło się światło latarki elektrycznej. Potem ponad krawędzią tego otworu ukazała się młoda twarz.

Ale w tej chwili z tyłu za komisarzem rozległ się wystrzał, i jednocześnie za spadającym ciałem z otworu do piwnicy. Wisłocki krzyknął przeraźliwie.

Kto strzelił — huknął Kański zapalając lampkę i skoczył do postaci, która spadła do piwnicy, równocześnie z nim runął i Wisłocki.

Tymczasem ten człowiek, który spadł do nich do piwnicy wpatrując się w Kańskiego wycharczał. —

To przez Ciebie ty stary psie — a potem dobywając głosu zawołał po angielsku do kogoś zgóry — Jimmy uciekaj tutaj jest ten pies Sherlock Holmes — i usunął się na posadzkę piwnicy. Za chwilę już nie żył!

Wszyscy otoczyli trupa, a Kański, którego umierający nazwał Holmesem ujął rudowłosą głowę nieboszczyka. I wtedy okazało się że te rude włosy były jedynie peruką z pod której rozsypały się śliczne ondulowane jasne włosy młodej kobiety.

— Panie Wislocki miałeś pan rację ozwał się Sherlock Holmes bo — to ja się pomyliłem, ponieważ twoja córka naprawdę nie żyje.

Ale pan Wisłocki, którego strzał pozbawił życia tę młodą leżącą przed nimi dziewczynę także już nie żył.

Uległ atakowi apoplekcji.

Młoda zaś i piękna dziewczyna, której zwłoki leżały przed nimi była od dawna poszukiwanym szefem bandy włamywaczy bankowych, zwanym „Ruda Hrabianka".

E P I L O G.

Długo później nie wspominał komisarz Lewandowski o tej tragicznej sprawie Sherlockowi Holmesowi, jak również nie odważył się poruszyć jego nazwiska.

Aż wreszcie sam Sherlock Holmes przystąpił do rzeczy i w ten sposób objaśnił ją komisarzowi.

Co do mojego nazwiska nieszczęsna Hrabianka mówiła prawdę, jestem Sherlock Holmes, któremu polecono waszą piękna ojczyznę jako miejsce wypoczynku. Ale widocznie nie będzie mi danym spocząć w życiu. Wszelako mam jedną prośbę do pana kochany przyjacielu, oto nie używaj mojego prawdziwego nazwiska.

A co do owego zakonu czerwonowłosych. Otóż zaraz, gdy tylko opowiedział mi o tym pan Żaba o Zakonie i przepisywaniu Encyklopedii, wiedziałem, że mam tu do czynienia z usiłowaniem utrzymania jak najdalej od domu pana Żabę. A kiedy usłyszałem, że pomocnik Żaby pracuje tylko za pół pensji i, że Zakon chce go ożenić z młodą rudowłosą dziewczyną, która była na tyle nieostrożna, że odwiedziła swego przyszłego, trochę starszego małżonka — wtedy wiedziałem już wszystko, i sprawa stała mi się jasną. Zresztą wtedy, gdy nam otworzył drzwi na Chłodnej i je zamknął — poznalem w nim „rudego Jimma" wspólnika owej nieuchwytnej Hrabianki. Jedno mnie tylko zastanowiło, że wyrodna córka, bo Hrabianka była córką dyrektora Wislockiego — podejmuje napad na bank ojca i dlatego poprosiłem go do współudziału w wyprawie mającej mieć moim zdaniem odmienne zakończenie.

Niestety los chciał inaczej.

Co zaś do zdziwienia panów — a nawet tu była przeszkoda panie komisarzu, iż nie mogłeś mnie rozpoznać, chociaż wydawałem ci się bliskim i znajomym — ze zająłem sie napozór rzeczą błahą, takim zwyczajnym włamaniem, to byliście wszyscy w błędzie.

Wszak już dawniej, tam na wyspach Albionu podjąłem walkę nie tylko z bandytami widzącymi rozwiązanie konfliktów jedynie w morderstwach, ale i z takimi, co milczkiem nie pozbawiając nikogo życia, odbierali swoim ofiarom krwawo zdobyty majątek — albo okradając bank, okradali tysiące ciułaczy, którzy z całą ufnością powierzali pancernym kasom swoje grosze i nagle stawali przed widmem ruiny — pozbawiając się życia, albo szalejąc z rozpaczy.

Zbrodnia jest jedna, ale ma setki sióstr i z temi siostrami podjąłem syzyfową walkę — kochany panie komisarzu — uśmiechnął się wielki detektyw, napełniając tytoniem swoją ulubioną fajeczkę.

Kiedy zaś komisarz Lewandowski nie mógł pojąc dlaczego piękna córka bogatego bankiera zeszła na taką drogę, Sherlock Holmes zapalając fajkę odpowiedział mu:

Mój drogi, kobieta i kot mają zawsze swoje drogi, któremi chadzają i nikt nigdy nie zbada dlaczego!

I w ten sposób Sherlock Holmes, którego miano za umarłego ożył tym razem w innej części świata a mianowicie w Polsce.

K O N I E C.

NOWELA:

Ciekawy rewanż

Jim Twitt był przez całe życie złodziejem i włamywaczem. Gdy go schwytano, odsiadywał karę i znowu szukał szczęścia. Marzeniem jego było wykonać kiedyś tak wielki skok, by już później móc żyć spokojnie i nie narażać więcej głowy i wolności.

Ale ostatnim razem miał pecha. Źle skończył się napad na woźnego „Foreign City Bank" Joe Wenta. Z niezwykłym trudem dowiedział się Jim, kiedy i którędy pójdzie ten woźny z pieniądzmi, przeznaczonymi na wypłaty, udało mu się dopaść Wenta wieczorem na samotnej ulicy. Jim uderzył go parę razy w skroń i zemdlonemu próbował wyrwać z ręki tekę z pieniądzmi, która, jak się okazało, przytwierdzona była do ramienia łańcuszkiem. Ale Went przyszedł do siebie począł krzyczeć. Jim wydobył rewolwer. Zaczęli się z sobą mocować i w trakcie szamotania padł strzał, który ugodził woźnego w ramię. Woźny padł zlany krwią, ale strzał zaalarmował przechodniów i Jim został ujęty.

Ten czyn odpokutował Jim 6 latami więzienia. Gdy opuścił je, starzy przyjaciele postarali się dla niego o przyodziewek i narzędzia „pracy" i Jim udał się znawu na poszukiwanie. Stara nienawiść pchnęła go do „Foreign City Bank". Udało mu się szczęśliwie dostać przez tylne wejście i wedrzeć na teren safesów. Papiery wartościowe nie wchodziły w rachubę. Chciał kraść perły, brylanty i złoto. Stalowe drzwi były wprawdzie ogniotrwałe, ale przy pomocy odpowiednich narzędzi dały się otworzyć łatwo, niby puszki konserw. W ciągu godziny otworzył 6 schowków i zamierzał właśnie dokonać wśród nich wyboru.

Nagle usłyszał szmer. Gdzieś zatrzaśnięto drzwi. Natychmiast zgasił lampę i zaczął nasłuchiwać. Upłynęła dłuższa chwila i już myślał, że uległ halucynacjom gdy ktoś znowu zatrzasnął drzwi. Tym razem były to — drzwi do oddziału safesów, które zostawił otwarte by umożliwić sobie ucieczkę. Serce jego zabiło gwałtownie. Był w pułapce. W tej chwili zabłyśnie napewno światło i oddział policjantów wkroczy do wnętrza.

Ale nic podobnego nie nastąpiło. Wąziutki promień światła padł przez wziernik na stalowych drzwiach. Musnął jego twarz i zniknął. Przez długi czas Jim nie odważył się poruszyć. Powietrze stawało się coraz duszniejsze i Jim chciał już poczynić rozpaczliwą próbę, ucieczki, gdy rozległ się szum i świst, który zdawał się płynąć od strony sufitu. Przez rurę, która była umocowana na ścianie, zdawało się wchodzić do pokoju stężone powietrze. Ale wnet zrozumiał, że to był trujący gaz.

Ostry zapach wżarł się w jego nozdrza lampka wypadła z rąk, oddech począł rzęzić w piersi.

Jim stał teraz w głębokiej ciemności Niebezpieczeństwo śmierci rosło z sekundy na sekundę. Lampka była rozbita. Zapałki pod grozą eksplozji zapalić nie mógł.

Ale któż mógł być tym niewidzialnym wrogiem? Chwiejnym krokiem począł Jim iść po omacku wzdłuż ściany, aż doszedł do stalowych drzwi; przycisnął usta do wziernika i zaczął głośno wołać o pomoc.

Nagle rozległ się z zewnątrz szyderczy głos: — Jim Twitt. Twoje usiłowania sa próżne. Nikt prócz mnie nie może cię usłyszeć.

Jim osłupiał. Skąd ten wróg nieubłagany znał jego nazwisko? Nagle przyszło wspomnienie, przeszło go, niby błyskawica. To był głos który słyszał w czasie procesu przed 6 laty, to był głos Joe Wenta, który wówczas zapewniał: — Przysięgam, że strzelił do mnie, by mnie zabić.

Zapewne postrzał w ramię pozbawił woźnego zdolności do pracy i dlatego zrobiono go w banku strażnikiem nocnym. Przyciskając usta do wziernika, próbował Jim wciągnąć świeże powietrze. Minuty śmiertelnej trwogi narastały we wieczność.

Właśnie w chwili, gdy stracił resztkę nadziei i runął na podłogę, otwarto drzwi i świeży powiew wpadł do zatrutej przestrzeni.

W drzwiach stał Joe Went z obwisłą bezwładną lewą ręką, którą postrzał Jima unieruchomił na zawsze, a w prawej dłoni trzymał rewolwer.

Śmiejąc się szyderczo, oświadczył Twittowi: — Zawiadomiłem już policję, ale chcę ci dać jeszcze ostatnią szansę ratunku. Jeśli osiągniesz drzwi przy końcu korytarza w ciągu 10 sekund, jesteś wolny.

Jak tygrys rzucił się Twitt ku drzwiom Zanim jednak dobiegł do nich, wydał głośny okrzyk bólu. Kula trafiła go w lewe ramię. Pomimo wściekłego bólu, zdołał uciec.

Nie dowiedział się nigdy, że Went wcale policji nie zawiadomił że wolał na własną rękę wyrównać dawny rachunek.

—oOo—

Kupon Nr 5 tekst przysłowia ....

....

WIELKI POPULARNY KONKURS

pod znakiem

SHERLOCKA HOLMESA

Chcąc spopularyzować nasze wydawnictwo rozpisujemy

WIELKI POPULARNY KONKURS

z cennymi wartościowymi nagrodami polegający na tym, że każdy z biorących w nim udział musi wyłowić z tygodnika naszego ukazujące się popularne przysłowia po jednym w każdym numerze.

Przysłowia te będą się ukazywały od Nr 1 do 15, ale wystarczy wyłowić tylko 10 i przedłożyć 10 kuponów z poszczególnych numerów.

Wydawnictwo nasze przeznacza

500 nagród

ogólnej wartości złotych 2.500.—

1. Rower marki „Lechuta"	zł 150.—
1. Zegarek na rękę marki „Omega"	„ 100.—
8. Wiecznych piór marki „Pelikan"	„ 200.—
40. Nagród pieniężnych a zł 10	„ 400.—
100. „ „ „ zł 5	„ 500.—
50. Wiecznych piór a zł 5	„ 250.—
100. Książek powieściowych a zł 4	„ 400.—
50. Krawatów a zł 3	„ 150.—
50. Portmonetek skórzanych a zł 3	„ 150.—
100. Albumów dla filatelistów a zł 2	„ 200.—
RAZEM 500 NAGRÓD	zł 2500.—

Ceny ogłoszeń: Strony dla ogłoszeń są 2-szpaltowe, 1 mm przez szerokość jednej szpalty w tekście, t. j. od 2-giej do 15-ej strony zł 1.— Na stronie 16-ej za 1 mm zł 0.80.

Wydawca: „Wydawnictwo Popularne". Redaktor odpowiedzialny: Józef Biskupski.

Adres redakcji i administracji: Kraków, Floriańska 44. Tel. 177-36.

Drukarnia Literacka w Krakowie, Plac Zgody 4, telefon 185-18.